

# Małgorzata Szpakowska

---

## Ucieczka Stanisława Lema

---

Teksty : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 3, 75-90

---

1972

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

*Małgorzata Szpakowska*

### **Ucieczka Stanisława Lema**

To dosyć osobliwa historia. Był sobie lekarz, który został pisarzem, i był sobie pisarz, który został filozofem. Jakim był lekarzem — powiedzieć nie potrafię, ale pisarzem i filozofem stał się niebanalnym.

Nazwisko Stanisława Lema czytelnikom kojarzy się przede wszystkim z opowieściami należącymi do *science fiction*. Sposób funkcjonowania w Polsce tej literatury jest zresztą dość osobliwy, być może dlatego, że ma ona stosunkowo niewielką tradycję, jeśli zaś szuka się dla niej prekursorów w przeszłości, natrafia się zazwyczaj nie na popularną fantastykę rozrywkową, z której XX-wieczna *science fiction* w końcu wyrosła, lecz na dzieła czcigodne, bliższe utopii społecznej, od trylogii księżycowej Żuławskiego poczynając, na powieściach Witkacego kończąc. Stąd też Lem działalność swoją rozpoczął na ziemi właściwie niczyjej, ale jednocześnie mając do czynienia z kryteriami dostosowanymi nie do produkcji rozrywkowej, lecz do literatury czasem więcej niż ambitnej. Nie było poprzedników, konwencji i wzorów — były za to wymagania. I Stanisław Lem postanowił im sprostać, postanowił uprawiać *science fiction* z całą powagą. Opublikował kilkadziesiąt opo-

*Science fiction  
w Polsce*

wiadań i powieści cieszących się nadzwyczajną popularnością, po wielokroć wznawianych i natychmiast znikających z księgarń. O powodzeniu jego książek fantastycznych współdecydowała zapewne pozycja niemal monopolisty. Ale nie tylko.

Lem teorety-  
kiem literatury

Poza tym bowiem, że sam ją uprawia, Lem jest teoretykiem literatury fantastyczno-naukowej. Już w *Wejściu na orbitę* znalazł się szkic poświęcony *science fiction*, wówczas na gruncie polskim prawie zupełnie nieznaney; informacja tam zawarta stanowiła jedyny bodaj drogowskaz pozwalający zorientować się w gwałtownie eksplodującej w tym czasie twórczości fantastyczno-naukowej Zachodu, przede wszystkim Stanów Zjednoczonych. W jakimś sensie reprzyę tego szkicu stanowią wydane w 1970 r. dwa grube tomy *Fantastyki i futurologii*, gigantycznego eseju, w którym Lem ostatecznie sformułował swe poglądy na *science fiction* i, poddawszy analizie niezliczone książki należące do tego gatunku, przedstawił własne pod jego adresem żądania. *Fantastyka i futurologia* poświęcona została diagnostycznym i przede wszystkim prognostycznym możliwościom literatury „przyszłościowej”. Efekty tej analizy okazały się zastanawiające, bowiem przegląd istniejącej produkcji literackiej przyniósł obraz zdecydowanie negatywny; wbrew temu jednak Lem od swoich postulatów nie odstąpił.

Żądania wobec  
*science fiction*

Nie są to oczywiście postulaty naiwne w rodzaju: „literatura fantastyczno-naukowa powinna prawdziwie przepowiadać przyszłość”; gdyby takimi były, nie warto by się w ogóle nad nimi zastanawiać. Żądanie Lema daje się sformułować bardziej ogólnie: literatura *science fiction* winna poważnie traktować swój związek z nauką i w konsekwencji winna poczuwać się do szczególnej odpowiedzialności, na miarę tych zadań, jakie jej w dzisiejszym świecie przypadają.

Nasz świat bowiem, zdaniem Lema, znajduje się w sytuacji przełomowej, dla której brak precedensów. Postęp w naukach przyrodniczych i technicz-

nych doprowadził nas do takiego szczebla rozwoju, na którym stajemy przed problemami należącymi już nie tylko do porządku socjologii (zagadnienia kultury masowej, swoistość praw rządzących wielkimi aglomeracjami itp.), ale do porządku biologii po prostu. Znaleźliśmy się wobec możliwości wprowadzenia biotechnik, wobec szansy działań autoewolucyjnych. Jak powiada Lem: „nasze czasy podprowadzają ludzkość do progu, poza którym sporządzenie zwrotnego sprzężenia między kulturą i dziedzicznością będzie możliwe” (*Fantastyka i futurologia*, t. 2, s. 401)<sup>1</sup>. Otóż sytuacja taka pociąga ze sobą konsekwencje, których wagi nie umiemy, a bodaj i nie chcemy dostrzegać. Jej nowość i niezwykłość polega na tym, że zmienione zostają w sposób zasadniczy granice dowolności ludzkich poczynań; to, co dotychczas w naszej kondycji było biologicznie dane, więc niezmiennie — staje się, czy stanie się niedługo, domeną decyzji. Innymi słowy, przekształcona zostaje w sposób istotny egzystencjalna sytuacja człowieka. „Do tej pory — pisze Lem — stanowiła technoevolucja zmienną niezależną ziemskiej cywilizacji, a stałym tej cywilizacji parametrem była norma gatunkowo-biologiczna ustroju człowieka”. Obecnie człowiek pozbawiony został tego punktu oparcia. „Jedyną jego ostoją (...) może być kultura we właściwych jej autonomicznych wartościach” (*Fantastyka i futurologia*, t. 1, s. 119).

I tu pojawia się zasadniczy kłopot. Bo mamy wprowadzić znakomite, niemal nieograniczone technologie, ale nie bardzo wiemy, do czego chcielibyśmy je zastosować. Brak nam nie tylko takiego projektu społecznego i antropologicznego, którego wprowadzenie w życie spotkałoby się z powszechną zgodą — ale brak nam wizji jakiegokolwiek. Zmianom zachodzą-

Możliwości  
działań  
autoewolucyj-  
nych

Nie ma projek-  
tu antropolo-  
gicznego

<sup>1</sup> Cytaty pochodzą z następujących książek Stanisława Lema: *Filozofia przypadku. Literatura w świetle empirii*. Kraków 1968 Wydawnictwo Literackie, ss. 608; *Fantastyka i futurologia*. Kraków 1970 Wydawnictwo Literackie, ss. 292; *Doskonała próżnia*. Warszawa 1971 Czytelnik, ss. 236.

cym w świecie techniki nie towarzyszy bowiem stabilizacja w świecie wartości; przeciwnie: te ostatnie ulegają coraz większemu rozchwianiu.

Rozkład wartości

Powodów tego jest wiele. Abstrahując już od doświadczeń historycznych, które przekreśliły nadzieję na automatyczną samorealizację wartości w miarę rozwoju technologicznego i nawet stworzyły podstawę do podejrzeń, że zależność jest odwrotna — w skali globalnej widoczny jest ostateczny już chyba schyłek wiary w istnienie jakichkolwiek wartości absolutnych i powszechnie obowiązujących. Nauka — a przez naukę rozumie tu Lem matematykę oraz dyscypliny empiryczne typu przyrodniczego — żadnych poza instrumentalnymi wskazówek w tej materii dostarczyć nie jest w stanie. Odpowiedzialność za ewentualne odpowiedzi spoczywa więc jedynie na kulturze.

Kultura i biocenoza

Czy kultura jest w stanie odpowiedzieć na stawiane jej pytanie? I czym w ogóle jest dla Lema kultura? W wydanej w 1968 r. *Filozofii przypadku*, gdzie pojęcie to poddane zostało szczegółowej analizie, Lem uznał ją za *universum* człowieka, za całość specyficznie ludzkiego świata. „Nie ma takiej cechy — pisał — którą człowiek mógłby przejawiać w kulturze «pozakulturowym» sposobem” (*Filozofia przypadku*, s. 255). A gdzie indziej: „pytać o człowieka poza kulturą, to tyle, co pytać o rzekę poza jej brzegami” (*Filozofia przypadku*, s. 258). Człowiek jednak oczywiście nie jest stworzeniem tylko kulturowym, lecz przede wszystkim i nieuchronnie biologicznym. Kultura jest jednym ze sposobów przetrwania, jakie obrał sobie gatunek ludzki; jej granice określane są zawsze przez konieczność biologiczną. „Kulturę — powiada Lem — będziemy zrównywać porównawczo z biocenozą, albowiem tak jedna, jak druga prowadzi, jakkolwiek w niezupełnie tożsamy warunkach, zasadniczo taką samą grę z przeciwnikiem, którym jest natura” (*Filozofia przypadku*, s. 384). Biocenoza jest generatorem gatunków żywych, będących jej artykulacjami; podobnie poszczególne kul-

tury stanowią artykulację nadrzędnego systemu, stworzonego przez antro- i socjoewolucję.

Ale kultura, rzecz prosta, nie daje się sprowadzić jedynie do roli mechanizmu zachowującego gatunek ludzki. Z drugiej bowiem strony jest ona mechanizmem samonaprawczym, zawdzięczającym tę swoją zdolność znacznej nadmiarowości w stosunku do swoich zachowawczych funkcji. Nie wyczerpuje się zatem ani gdy tłumaczyć ją wyłącznie funkcjonalnie, ani gdy interpretować ją jako — z punktu widzenia gatunkowego — bezinteresowną. Dla celów niniejszego rozumowania można pominąć sprawę dalszych konsekwencji, jakie Lem ze swojego rozumienia kultury wyprowadza: statystycznego charakteru prawidłowości dających się zaobserwować wśród zjawisk do kultury zaliczanych; wystarczy poprzestać na stwierdzeniu, że Lem pojmuje kulturę między innymi jako rodzaj zachowania przystosowawczego.

A raczej taką rolę przypisuje jej w dotychczasowych dziejach gatunku. Według bowiem postawionej w *Fantastyce i futurologii* diagnozy, opisującej sytuację aktualną — funkcjonujący dotychczas system przystosowawczy uległ jakiemuś zakłóceniu. Dotychczas biologia była w sposób konieczny wobec kultury nadrzędna i wyznaczała jej granice; dzisiaj lub najdalej jutro owe granice będą mogły być w znacznym stopniu przez samą kulturę określane. Przystosowanie zamieni się w autoregulację, której kryteria winny być immanentnie zawarte w samoregulującym się mechanizmie; tymczasem według diagnozy Lema brak nawet zadatków na narodziny takich kryteriów. Kultura taka, z jaką mamy dzisiaj do czynienia, okazuje się zbyt słaba, by nałożyć na nią ciężar udźwignąć.

Na sytuację niedogodną reaguje nerwicowo. Przejawem owej nerwicy jest między innymi rozplenie się katastroficznych wizji — intelektualnie najczęściej jałowych i nadużywających bez miary argumentu o rychłym końcu wszystkiego. Tak, jakby ma-

Inny wymiar  
kultury

Wizje katastro-  
ficzne

rzeniem o samobójstwie neurastenik chciał się pocieszyć, gdy życie nastęcza mu problemy, którym sprostać nie potrafi. Z zestawień przedstawionych przez Lema wynika, że przeważająca większość literatury fantastycznej to tandetna eschatologia: *science fiction* „podała temat katastrofy takiej kompletnej inflacji, że dzięki niej nic on już właściwie nie znaczy” (*Fantastyka i futurologia*, t. 2, s. 33). Ma to dwojaki skutek: z jednej strony nieustająca wizja ostatecznego krachu staje się rozwiązaniem zastępczym, neurotycznym narkotykiem; z drugiej — banalizacja katastrofy powoduje zanik wrażliwości na całkiem realne niebezpieczeństwa. Profuzja katastrofizmu nie jest aksjologicznie neutralną modą literacką i rację ma Lem powiadając, że jest po prostu szkodliwa „jak każde działanie, które przyczynia się do nihilizowania wartości” (*Fantastyka i futurologia*, t. 2, s. 25).

Ucieczka  
od wolności

Obok upajania się samobójstwem innym rozwiązaniem nerwicowym jest ucieczka od wolności. Zaobserwować ją można w tendencji do tworzenia fałszywych absolutów, ale również wszędzie tam, gdzie optymistycznym „jakoś to będzie” staramy się łątać dziury w naszym wyobrażeniu o przyszłości. Bowiem „jakoś to będzie” oznacza najczęściej przekonanie, że w samej naturze świata istnieją takie nieprzekraczalne bariery, które ograniczą swobodę naszej decyzji i dzięki temu ocalą nas od ponoszenia konsekwencji naszych własnych tym razem błędów, że „człowiek pewnych rzeczy nie uczyni nie dlatego, ponieważ inaczej wybierze, lecz dlatego, że mu świat na to nie pozwoli.” Co jest, jak powiada Lem, „przerzucaniem odpowiedzialności za los ludzki na ontologię” (*Fantastyka i futurologia*, t. 2, s. 358).

Uczniowie  
czarnoksiężnika

Pozbawieni wsparcia ze strony mocno ugruntowanego systemu wartości, zdani jedynie sami na siebie, jesteśmy więc w tej chwili owymi uczniami czarnoksiężnika, wprawiającymi w życie nieznanne moce, nad którymi nie tylko nie w pełni panujemy, ale nawet nie potrafimy powiedzieć, do czego właściwie

są nam potrzebne. Proponowanie, by wobec tego przestać w ogóle robić cokolwiek, jest oczywistą demagogią: po pierwsze dlatego, że ograniczenie ekspansjonistycznych ambicji byłoby, jak się wydaje, naruszeniem najistotniejszego wyznacznika człowieczeństwa; po wtóre zaś — bo praktycznie po prostu nie dałoby się przeprowadzić. Cywilizacja nasza zdradza raczej tendencję przeciwną: by realizować wszystko, co jest do zrealizowania możliwe, bez względu na to, czy jest w tym jakikolwiek sens, czy go nie ma.

Jedyną nadzieją pozostaje więc owa znerwicowana, zakłamana i uciekająca od najważniejszych problemów kultura. Ona bowiem tylko powstrzymać nas może od szaleństwa, w wyniku którego autoewolucja ludzkiego gatunku okaże się samozniszczeniem — bądź w sensie najszerszym, przez spowodowanie jakiejś niemożliwej w tej chwili do przewidzenia ogólnej katastrofy, bądź w sensie węższym — wskutek zaprzepaszczenia tego wszystkiego, co dotychczas z istotą człowieczeństwa tradycyjnie było związane. Jeżeli zaś sytuacja jest tak alarmująca — trzeba ze wszystkich sił starać się zapobiec niebezpieczeństwu. Do tej roli predestynowani są, z wyżej wyłożonych racji, oczywiście ludzie kultury; jednocześnie jednak, aby mogli wypełnić swoje posłannictwo, nieodzowne jest, by niebezpieczeństwo znane było im nie tylko jako bliżej nieokreślone zagrożenie, ale by potrafili je zrozumieć i wyciągnąć z niego konsekwencje w sposób oparty nie jedynie na fantazji i intuicji, lecz na wiedzy i ścisłym rozumowaniu. Innymi słowy: tą dziedziną ludzkiej aktywności, w której dzięki skojarzeniu świata wartości z osiągnięciami nauki przeciwdziałanie nieobliczalnym skutkom rozwoju technologicznego wydaje się możliwe — jest właśnie *science fiction*.

Przytoczone rozumowanie, tłumaczące ogrom wymagań, jakie Lem stawia przed fantastyką naukową, wydaje się w zasadzie nie do podważenia. Ma ono tylko jedną, zasadniczą wadę: odnosi się nie do ta-

Nadzieją jest  
*science fiction*



Skojarzenie  
nauki i kultury

kiej fantastyki, jaka istnieje, ale do takiej, jaka — zdaniem Lema — być powinna. Ta bowiem, którą szczegółowemu przeglądowi poddał w *Fantastyce i futurologii*, przedstawia obraz zgoła inny. Ze wskazanych wyżej powodów Stanisław Lem literaturę fantastyczną traktuje serio, tak serio, jak traktuje się futurologiczne wypowiedzi dyskursywne, i tak serio, jak traktuje się utwory literackie uznawane za arcydzieła. Jest to zresztą stanowisko konsekwentne: tylko na najwyższym poziomie skojarzenia obydwu porządków — nauki i kultury — powstać mogą owe dzieła, które wypełnią notoryczną lukę w naszym widzeniu przyszłości, ustanawiając dla ludzkości cele zarazem etycznie akceptowalne i technicznie możliwe do zrealizowania. Ale gdy Lem ze swymi zastrzonymi do ostateczności kryteriami przechodzi do seryjnej produkcji literackiej, do konfekcji fantastyczno-naukowej, a nawet do własnych książek beletrystycznych, rozszarpuje je na strzępy i w końcu pozostaje z pustymi rękoma.

Przewaga war-  
stwy dyskur-  
sywnej

Właśnie: również do własnych książek fantastyczno-naukowych, którym zawdzięcza w opinii społecznej sławę i karierę. Chociaż przyznać mu trzeba — także jako pisarzowi, nie tylko jako teoretykowi — znaczną konsekwencję. Kiedy w 1951 r. ukazała się pierwsza fantastyczna powieść Lema, *Astronauta*, przyjęto ją wprawdzie życzliwie, ale tak po trosze, jak się zazwyczaj przyjmuje pozycje rozrywkowe; podobna reakcja towarzyszyła późniejszym książkom: *Sezamowi* i *Obłokowi Magellana*. Czytane z perspektywy dalszej twórczości Lema okazują się jednak czymś innym; od początku bowiem budowane były tak, aby nad warstwą przygodowo-sensacyjną górowało jakieś ogólniejsze pytanie, choć przyznać trzeba z drugiej strony, że w przypadku owych trzech pierwszych książek Lema problematyka była jeszcze mocno uproszczona. Niemniej już wówczas zarysowała się tak charakterystyczna dla tego pisarza przewaga strony problemowo-dyskursywnej nad techniczno-literacką, a więc zadatek przyszłej drogi

od literatury *science fiction* do tematyki *par excellence* filozoficznej. Zresztą czy przyszłej? Już w roku 1957 ukazała się pierwsza filozoficzna książka Lema, *Dialogi*, w której — acz pod postacią berkeley'owskiego pastiszu — znaleźć można w załączku większość wątków, które w dalszej twórczości Lema do czekały się szczegółowego opracowania. Pominąwszy jednak fakt wydania *Dialogów*, zarówno owe wczesne, jak i późniejsze powieści i znakomite często opowiadania Lema stanowią zjawisko osobliwe. Bo nie są to przecież tylko takie sobie bajeczki o przygodach na przyszłej Ziemi czy na innych planetach; na tle sensacyjnych wydarzeń i z upodobaniem kreślonych przez autora obrazów pulsującej kosmicznej plazmy pojawiają się pytania znacznie poważniejsze: o sens i istotę ludzkiej kultury, o przekładalność wzajemną kultur heterogenicznych, o możliwości destrukcji kultury własnej, o procesy alienacyjne, o prawo do reformowania i „ulepszania” kultur cudzych, o relatywizm wartości moralnych i nawet o Absolut — bo tak przecież można interpretować jedno z półgroteskowych, półpoważnych opowiadań z cyklu wspomnień Ijona Tichego — o konstruktorze maszyn myślących, analogonów psychiki ludzkiej, który obdarzył je świadomością podobną naszej, nie kontaktującą się jednak ze światem zewnętrznym, ale jedynie z nadajnikiem kształtującym „świat” dostępny owym świadomościom. W ten sposób konstruktor stał się wszechwładnym bóstwem swoich maszyn i ich — potencjalną przynajmniej — Opatrznością. Mógł dostarczyć im na przemian cierpień lub szczęścia, podsuwać problemy do rozwiązania, pozwalać, by budowały teorie naukowe i badały „rzeczywistość”, jaką przed nimi rozpościerał, znajdując w niej pewne prawidłowości. Dla każdej z tych izolowanych świadomości tworzył wyobrażenie szeregu fikcyjnych bytów im podobnych, dostarczał im poczucia więzi społecznej — i czuł się władcą absolutnym, prześladowanym tylko jedną myślą: czy i on sam wraz ze swoimi maszynami nie jest jedy-

Pytania o sens  
i istotę ludz-  
kiej kultury

nie zaprogramowanym przez kogoś innego mechanizmem, częścią układu analogicznego do tego, który sam wybudował.

Od literatury  
do filozofii

Te i inne pytania uzyskiwały w opracowaniu literackim mniej lub bardziej udany kształt fabularny; wydaje się jednak, że dla samego autora przesłaniały po trosze literacką realizację. Przekonanie o wadze podejmowanych problemów okazało się silniejsze od potrzeby artystycznej ekspresji. Spośród utworów beletrystycznych powstałych w ciągu ostatnich kilku lat najciekawszym chyba wydaje się *Głos Pana*, gdzie nikiła fabuła jest już całkiem jawnie pretekstem do teoretycznych rozważań na temat możliwości (i sensowności) kontaktu z pozaziemskimi cywilizacjami. Ale *Głos Pana* wyznacza tylko jeden kierunek, niejako pseudofabularny; obok niego istnieje także drugi, ostatecznie dominujący. Równoległe z twórczością literacką powstaje bowiem coraz więcej artykułów w fachowych czasopismach filozoficznych oraz następne książki, z literaturą *sensu stricto* nie mające już wiele wspólnego: w roku 1964 *Summa technologiae*, która wywołała zainteresowanie i polemiki ze strony najwybitniejszych filozofów polskich, przedstawiając możliwe perspektywy świata po rewolucji technologicznej, a następnie, w roku 1968, *Filozofia przypadku* — zaskakująca na pozór w zestawieniu z dotychczasowymi zainteresowaniami Lema próba skonstruowania własnej teorii literatury.

Próba teorii  
literatury

Od *science fiction* do teorii kultury droga jest wprawdzie daleka, ale jakoś w końcu zrozumiała. Gdzież tu jednak przejście do teorii literatury? Tymczasem zwrot, jakiego Lem dokonał, bynajmniej nie jest tak paradoksalny, jak by się na pierwszy rzut oka wydawać mogło. Zdaje się nawet najzupełniej logiczną konsekwencją zadań, jakie sobie jako twórcy *science fiction* postawił i którym — nie sprostał. Pod adresem jego książek fantastyczno-naukowych zgłaszać można — i czyniono to niejednokrotnie — wiele zastrzeżeń od strony techniczno-literackiej;

znakomite pomysły koincydują tam z banalnymi rozwiązaniami fabularnymi, ze schematycznym przedstawieniem bohaterów, z niekonsekwencjami konstrukcyjnymi. Mniej to widoczne w opowiadaniach, gdzie warstwa problemowa może zapełnić znaczną część tekstu; bardziej rażące w powieściach. Jaskrawym tego przykładem może być *Powrót z gwiazd* i choć jest niewątpliwą nielojalnością przywoływać jako dowód powieść w całej twórczości Lema chyba najslabszą, właśnie owa jaskrawość taki zabieg usprawiedliwia. W *Fantastyce i futurologii* sam autor poddał ją zresztą tak brutalnej i precyzyjnej krytyce, na jaką z trudem poważylby się złośliwy nawet recenzent; samowiedza pisarza, który stał się autentycznym znawcą i teoretykiem literatury, prowadzi w końcu i do takich paradoksów. *Powrót z gwiazd* jest historią astronauty, który wystrzelony w długotrwałą podróż kosmiczną i wskutek spowolnienia procesów biologicznych w prędkościach podświetlnych zachowujący młodość, wraca na Ziemię taką, jaką stała się ona w ciągu jego stukilkudziesięcioletniej nieobecności: na Ziemię cywilizacji ułagodzonej, Ziemię komfortu, dobrobytu, zaniku konfliktów społecznych, farmakologicznie wszczepionej miłości bliźniego i również farmakologicznie wytrzebionej żyłki ryzyka. Obrazek tej „bezzębnej” cywilizacji stanowi wizję przerażającą: ukazuje bowiem przyszłość wolną wprawdzie od cierpień, ale i tym samym pozbawioną bodźca do doskonalenia się, bez buntu, bez protestu, bez notorycznego *non serviam*, bez dążenia do transcendencji. Niczyje życie nie jest w tej przyszłości narażone na niebezpieczeństwo ani bezsensownie marnowane; zarazem jednak przychodzi zapytać, czy przypadkiem owo bezcenne życie ludzkie nie przestało w ogóle być wartością i czy brak niebezpieczeństwa nie odebrał mu po prostu sensu. Jest to więc książka o konieczności ryzyka, nawet instrumentalnie zbytecznego, o konieczności zła, by mogło istnieć dobro,

Brutalna  
i precyzyjna  
autokrytyka

„Bezzębna”  
cywilizacja

o nieodzowności przeszkód, by było co przezyciężać.

Jest — a raczej mogłaby być: bo do jej zbudowania nie wystarcza sam problem i płynące z niego konsekwencje: Lem przez cały czas kurczowo trzyma się myśli, że przecież pisze powieść. I do pytania fundamentalnego mozolnie dorabia fabułę, zawikłania i perypetie romansowe (te ostatnie, jak sam potem tłumaczy, z czystej ludzkiej litości dla bohatera), opisy przyrody, pościgi, suspensy i inne przybudówki, które nie zawsze do siebie pasują i stanowią balast zbyt ciężki, aby naczelny problem zdolny był uratować całość. W uderzający sposób konstrukcja myślowa nie przystaje do konstrukcji fabularnej. Więc może — powie ktoś — jest to po prostu taki przypadek, w którym pisarz ma wprawdzie pomysły, ale brak mu talentu, aby je wprowadzić w życie? Abstrahując już od metodologicznej nieczystości takiego pytania (niby wedle jakich kryteriów oddzielić by się dało „pomysł” od „talentu?”), istnieją przeciw temu niepodważalne kontrargumenty w postaci tych książek Lema, które nie będąc ani fantastyką, ani filozofią, są po prostu dobrą literaturą. Myślę przede wszystkim o *Wysokim zamku*, choć i o wcześniejszym *Czasie nieutraconym* dałoby się powiedzieć, że znajdowały się w nim zadatki na książkę nieprzeciętną, i że głównie schematyzm królujący w owych czasach zaważył na niedoskonałościach tej powieści. *Wysoki zamek*, wolny od takich obciążeń, jest literaturą, jak to mawiał Ingarden, „czystej krwi”; przy tym taką książką, jaką w pewnym sensie każdy człowiek mający jakie takie zaufanie do własnego umysłu i jakiś sentyment do własnej osoby (a któż ich w końcu nie ma?) chciałby napisać: książką o sobie samym po prostu i bez usprawiedliwień. Jakim jestem, jakim byłem, jakie było moje dzieciństwo, co sobie o sobie samym i o świecie myślę i myślałem. Nie chodzi mi tutaj oczywiście o tożsamość faktów i nie ma z pewnością większego znaczenia, czy Stanisław Lem w rzeczywi-

O konstrukcji  
fabularnej

stości zbudował kiedyś absurdalne imperium biurokratyczne, które potem w *Wysokim zamku* opisał; chodzi mi jedynie o intelektualną tożsamość autora i narrotora. *Wysoki zamek* to nie tylko zbiór wspomnień ładnie opowiedzianych; to także esej — dziennik umysłu, a jednocześnie — w najpełniejszym słowa tego znaczeniu — poetycka wizja własnej świadomości, twór rzadko spotykanej literackiej finezji. Nie tędy więc droga i nie od strony literackiej przychodzi zaatakować niedostatki tworzonej przez Lema fantastyki naukowej.

A ponieważ strona filozoficzno-problemowa jest w niej nie do podważenia i ponieważ kompetencji Lema w zakresie tego, co stanowi „materiałową” podstawę jego książek — w naukach przyrodniczych — nikt nigdy nie powążył się zakwestionować, sytuacja zakrawa na całkowity paradoks. Niezrozumiała musiała wydawać się również samemu autorowi, już nie tylko w odniesieniu do dzieł własnych, o co ostatecznie mniejsza, ale w stosunku do całego gatunku, przed którym tak odpowiedzialne zadania postawił: nawet jeżeli wszystkie warunki, konieczne dla stworzenia doskonałych książek *science fiction*, zostają spełnione — dzieła na miarę wytyczonych im zadań nie powstają. Na czym polega błąd? Sądzę, że takie właśnie lub podobne rozumowanie zaprowadziło Lema tam, gdzie znajduje się on obecnie: od zainteresowania dla świata do zainteresowania dla jego artystycznego opisu, od rozważań ontologicznych do teorii literatury.

A że Lem na ogół poczyna sobie rzetelnie, więc i jego *Filozofia przypadku* stała się wydarzeniem w humanistyce, jako próba stworzenia syntetycznej i całościowej wizji dzieła literackiego wraz z jego uwikłaniami kulturowymi, wraz z procesami odbioru, przekształceniami i deformacjami. Ewokowała znane zresztą kłopoty współczesnej humanistyki, sprowadzając się, bardzo rzecz upraszczając, do trudności, jakie nastęrcza znalezienie przejścia między strukturą znaczącą a tym, co jest przez nią znaczone —

Czym jest  
*Wysoki zamek*  
Zamek

Od rozważań  
ontologicznych  
do teorii literatury

Kłopoty  
współczesnej  
humanistyki

z jednej strony, i między synchronią a diachronią — z drugiej. Wprowadzając pojęcia z zakresu statystyki i probabilistyki, Lem usiłował znaleźć jakieś odpowiedzi na te pytania. Jednocześnie zaś przeprowadził szczegółową i nader impetyczną krytykę rozmaitych obecnie funkcjonujących szkół w nauce o literaturze. I chociaż jego ostateczne wnioski były w większości negatywne, okazało się bowiem niezbitcie, że ściśle naukowej teorii dzieła literackiego stworzyć po prostu nie można, jego książka wydawała się ożywcza już przez sam fakt, że wprowadzając zupełnie nowy i skądinąd zaczerpnięty aparat pojęciowy, pozwalała z całą ostrością dostrzec niedoskonałości i bezprawne uproszczenia metod, którymi się teoria literatury posługuje. Ale też oczywiście *Filozofia przypadku* rozwiązania problemu przekleństwa ciężącego nad gatunkiem *science fiction* nie przyniosła; niezależnie od swej autonomicznej wartości pozostała tylko jeszcze jednym bezskutecznym etapem poszukiwanej przez Lema drogi do zbawienia świata przez literaturę.

Ucieczka w  
błazeństwo

A skoro zawiodła wiedza — pozostała już tylko ucieczka w błazeństwo. Równocześnie z traktowaną serio fantastyką Lem pisywał zawsze groteski; stanowiły one zazwyczaj wykrzywione odbicie tych problemów, którymi się aktualnie zajmował. Lecz jak napisać *science fiction*, w której miejsce *science* zajmowałaby humanistyka? Otóż Lem tego dokonał. Parodiując siebie do kwadratu — bo zarówno samą fantastykę naukową, jak i metody teoretyzowania na jej temat — rozpoczął recenzowanie dzieł nieistniejących, skoro istniejące jego wymagań zaspokoić nie zdołały. I tak powstała w 1971 r. chyba najznakomitsza książka fantastyczna Lema — *Doskonała próżnia*.

Z części przynajmniej streszczonych w quasi-recenzjach *Doskonałej próżni* pomysłów dałoby się wykroić dobrych kilka powieści fantastycznych i kilka esejów najzupełniej serio. Dlaczego więc Lem ich nie napisał? Dlaczego opatrzył je groteskowym zna-

kiem zapytania? Sądzę, że zasada jest tu podobna jak — *mutatis mutandis* — w *Głosie Pana*: postawienie problemu jest dla pisarza znacznie ważniejsze od potrzeby artystycznej ekspresji i na oblekanie pytań w kształt fabularny szkoda mu po prostu czasu i trudu. Z drugiej zaś strony nie są to jeszcze pytania na tyle precyzyjnie sformułowane, by można im nadać postać dyskursywnego wykładu. Przy okazji Lem stworzył więc nowy gatunek literacki — coś, co można nazwać „literaturą embrionalną”. Potem, jakby speszony własną niekonwencjonalnością, dla jej zneutralizowania przydał żartobliwe opakowanie. Jest to paszkwil na literaturę — z pewnością. I z pewnością jest to również paszkwil na krytykę. Ale jest to przede wszystkim paszkwil na samego siebie: nieunikniona konsekwencja samowiedzy. BOWIEM *Doskonałą próżnię* otwiera recenzja — *Doskonałej próżni* właśnie, jako książki, która nigdy nie powstała, a zarazem książki nie spełnionych tęsknot i marzeń, „opowieści o tym, czego się chce, ale czego się nie ma”, jak powiada Lem, nie istniejący recenzent własnego nie istniejącego dzieła (*Doskonała próżnia*, s. 10).

I na tym można by zakończyć. *Doskonała próżnia* stanowi, jak dotychczas, najdalszy punkt dojścia; wydane ostatnio opowiadania z tomu *Bezsenność* i uzupełnienia do *Dzienników gwiazdowych* o tyle tu nic nie zmieniają, że sięgają do problematyki wcześniejszej, stanowią przedłużenie wątków dawniej podejmowanych. Ale Lem napisze jeszcze wiele nowych książek, a potem, żeby je zrozumieć, zbuduje jeszcze wiele teorii. A tymczasem studenci filozofii już pisują prace magisterskie na temat jego pomysłów; dojdzie zapewne niedługo i do doktoratów. Postawiwszy sobie z założenia niemożliwe do zrealizowania zadanie zbawienia świata przez literaturę — Stanisław Lem nigdy nie będzie z siebie zadowolony, nigdy nie będzie mógł „po prostu” pisać powieści, nigdy nie przestanie szukać. I tak chyba jest właśnie najlepiej. BOWIEM od *Astronautów*

Dlaczego nie serio?

Zbawienie świata przez literaturę?



Piękna  
przygoda  
ludzkiego  
umysłu

po *Doskonałą próżnię*, przez groteskowe opowiadania, sensacyjne powieści i rzetelnie uprawianą filozofię — twórczość Stanisława Lema jest — razem ze wszystkimi swoimi brakami i mankamentami — bardzo piękną przygodą ludzkiego poszukującego umysłu, świadomego własnych ograniczeń i nieustannie żadnego owe ograniczenia przekroczyć, eksplorującego coraz to nowe obszary ludzkiej wiedzy w nieprzerwanej pogoni za taką prawdą, o której wie, że jej nigdzie znaleźć nie może, ale której nigdy nie przestanie ścigać.